

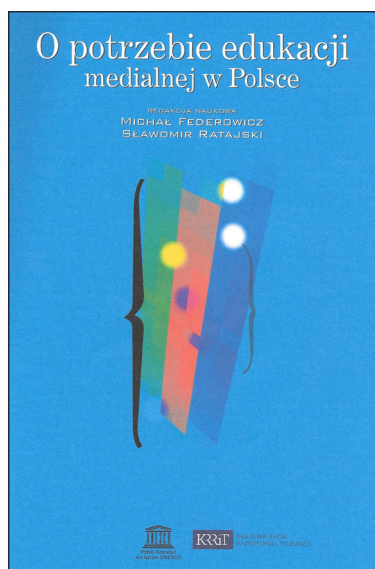
NR 20 (29)

BIBLIOTEKA

2016 PL ISSN 1506-3615

JACEK WOJCIECHOWSKI

O potrzebie edukacji medialnej w Polsce, red. naukowa
Michał Federowicz, Sławomir Ratajski, Warszawa:
Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, Polski Komitet
do spraw UNESCO 2015, s. 487
[dokument elektroniczny]



Mimo znacznego przyrostu publikacji medioznawczych wiedza o funkcjonowaniu komunikacji medialnej – zresztą piśmienniczej także – wciąż wydaje się mocno niepełna. Brakuje zwłaszcza wiarygodnych rozpoznań empirycznych, a tym bardziej trafnych konkluzji syntetyzujących. Przeważają luźne roztrząsania kompilacyjne, wątpliwej nierzadko trafności i niekoniecznie odkrywcze. To w ogóle źle, a i dla wiedzy o bibliotekarstwie również niedobrze, bo to wszak obszary powiązane, krzyżujące się częściowo, a w pozostałym wymiarze – ościenne.

Dlatego trzeba koniecznie zwracać uwagę na każde doniesienie medioznawcze, które **rzeczywiście** wzbogaca stan dotych-

czasowej wiedzy. I z tym założeniem sygnalizuję tu pokazną publikację dwuwersyjną (drukowaną i digitalną), którą sfilmowała Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, do spółki z Polskim Komitetem do spraw UNESCO. Wprawdzie nie wszystkie pomieszczone tam publikacje są równie ciekawe – kilka włączono niepotrzebnie – ale niektóre przynoszą informacje bardzo ważne i wysoce użyteczne.

Być może potrzebny był surowszy odsiew tekstów – przy okazji redukujący też nadmierne rozmiary całości, bo czytanie tylu stron z ekranu to ewidentna udręka. Mało strawne okazało się zwłaszcza pomieszczenie w tomie autentycznych wypowiedzi naukowych z publicystycznymi,

które w dodatku usiłują naukowość imitować. No i nie zaszkodziłaby staranniejsza redakcja, bowiem niektórzy autorzy powtarzają jedno i to samo w kółko, a bywa też, że wzajemnie sobie przeczą. Ale tak już ostatnio jest, że redagowanie tomów zbiorowych nierzadko miewa charakter czysto pozorancki. Jednak przy selektywnej lekturze, słabości można intencjonalnie przeoczyć.

Cele tej monografii trafnie oddaje tytuł. Rzeczywiście mowa o potrzebie edukacji – w szerokim sensie – medialnej oraz o stanie tej edukacji w Polsce i na świecie, oraz o sposobach optymalizacji. Jest też sporo bardzo ciekawych opinii o medialnej komunikacji w ogóle. Dlatego przynajmniej kilka tekstów z tego tomu powinien przeczytać każdy, komu problematyka komunikacyjnej mediacji nie jest zawodowo albo naukowo obca.

Tom otwiera bardzo długi tekst **Wiesława Godzica** (prof. dr hab. na Uniwersytecie Humanistycznym SWPS) – z pomocniczym współautorstwem doktorantek z tej warszawskiej uczelni **Lidii Rudzińskiej** oraz **Małgorzaty Kowalewskiej** – *Świat, który potrzebuje edukacji medialnej. Poznanie, terapia i wyzwanie*. Tytuł znacznie więcej zapowiada, niż w treści naprawdę jest (w ogóle tytuły w tym tomie są napuszone i długie jak w średniowieczu), ale to interesująca wypowiedź, pomimo nadmiaru ogólników, jakkolwiek nie jest bezbłędna. Niektórym tezom brakuje dowodów, przywołania są albo bardzo stare, albo z codziennej prasy, zaś określanie stanu czytelnictwa w Polsce według doniesień BN to jednak na poziomie profesorskim kompromitacja, bo te badania **nie odnoszą się do całej** populacji Polski. W sumie jest to raczej rekapitulacja wiedzy o komunikacji telewizyjnej oraz internetowej aniżeli referencja nowa, ale skonstruowana inteligentnie i będąca dobrym wprowadzeniem do dyskusji o edukacji medialnej – słusznie pojmowanej integralnie, czyli całościowo.

Godzic ma świadomość, że media to nie tylko kanały komunikacji, ale również wielka siła sprawcza o niebywałym zasięgu społecznym, toteż rozumne ich używanie stanowi współcześnie jeden z głównych warunków racjonalnej egzystencji. Lecz takiego użytkowania nie ma. Zarzut infantylizacji mediów oraz pajdokracji, jak też manipulatorstwa, ma swoje uzasadnienie – jednak przede wszystkim za sprawą prymitywizacji odbioru. Telewizja, mimo że imituje prostotę, nie sygnalizuje przecież całej prawdy, więc manipuluje, ale to telewizor powinien wiedzieć, jak nie dać się zrobić w konia. A na ogół nie wie.

Zaś inna już sprawa, że niewiele o publiczności medialnej wiadomo. Godzic jest zdania, że wiedza, która jest, zalatuje fałszem, ale to nie przeszkadza mu w kategoriowym stwierdzeniu, że modelowy medioman to narcyz, zapatrzony wyłącznie w siebie. Otóż w tym miejscu

chętnie poprosiłbym o dowód. Natomiast bezsprzecznie ma rację, sugerując, że **porządna** i powszechna edukacja medialna jest absolutnie konieczna – szczególnie w Polsce, bo jest tylko szczątkowa. Chociaż są w tym tomie wypowiedzi sugerujące coś innego; widać więc jasno, że redaktorzy nie poczytali.

Ogólna sugestia autorska jest taka, że medialna edukacja powinna odnosić się do wszystkich mediów, z akcentem nie tylko na umiejętności techniczne, ale przede wszystkim na kreatywny, transformacyjny odbiór treści, czyli na aktywność w odbiorze i na umiejętność osobistej interpretacji oraz własnej oceny treści. Mniej więcej podobne postulaty bywały formułowane już wcześniej, ale tu są odświeżone i brzmią bardzo perswazyjnie. Do tego dorzuca Godzic sugestię, że trzeba zmienić modelową formułę medialnego edukatora – odtąd w mniejszym stopniu instruktora i nauczyciela, a bardziej partnera, dzielącego się swoim doświadczeniem w użytkowaniu mediów, a konkretnie Internetu.

W tej chwili – zdaniem autora – nadrzędnym celem powinno być przełamanie schematycznych, rutynowych postaw odbiorczych. Kiedy to mianowicie treści przejmują się bezkrytycznie, jedynie z ewentualnym odrzuceniem tego, co odbiorczym przeświadczeniom nie odpowiada, ale to nie jest przecież żadna weryfikacja. No więc postawę **rzeczywistości** weryfikacyjną w odbiorze trzeba koniecznie w procesach edukacyjnych wypracować.

W tekście jest również mowa o rozmaitych zagrożeniach medialnych. Więc o manipulacyjnym charakterze wielu komunikatów, o niskiej wiarygodności Internetu i o różnych formach uzależnienia. A także o nadmiernym zaufaniu do transmitowanych treści, mimo że rozpanoszył się już framing (napastliwe interakcje) i trolling (prowokacje, wyśmiewanie), przed czym żadne ogłaszane netykiety bynajmniej nie chronią. Trzeba więc opanować sztukę samoobrony.

Z tym że ta część wywodu jest już mocno chaotyczna, wyrzykowa i nie zawiera konkretów. To rejestr ogólnikowych stwierdzeń i postulatów. Zapewne słusznych, lecz czysto werbalnych.

Natomiast nie mam żadnych zastrzeżeń wobec znakomitego opracowania *Wpływ sposobów korzystania z mediów na poznawcze i emocjonalne funkcjonowanie dzieci i młodzieży*. „Cyfrowi tubylcy” z psychologicznej perspektywy – poza tym, że sam tytuł jest przesadnie rozdęty. Autorzy **Piotr Francuz** (dr hab. z KUL) i **Jolanta Pisarek** skupili się na ocenie funkcjonowania Internetu wśród młodzieży oraz na neuronaukowych (psychologicznych) aspektach odbioru treści z sieci.

W tekście został zakwestionowany mit lepszego (podobno) posługiwania się Internetem przez pokolenia młodsze i najmłodsze, czyli

przez tzw. **cyfrowych tubylców** aniżeli przez starszych **digitalnych imigrantów**. Wyższa jest jedynie sprawność czysto techniczna, manualna, natomiast reguły rozumnego odbioru **treści** muszą być opanowane intencjonalnie, bez względu na wiek. W neuronalnej strukturze mózgu nie ma niczego, co przemawiałoby za takim pokoleniowym rozróżnieniem.

Inna jest natomiast praktyka. Młodzież bowiem używa Internetu do wszystkiego, do czego używać można – aż takiego uniwersalizmu wśród pokoleń starszych nie widać – jednak z wyraźnym ukierunkowaniem w stronę rozrywki. W czym zresztą nie ma nic złego, a nawet przeciwnie. Są však opinie, że elektroniczne gry fabularne można po części potraktować jako atrakcyjne formy edukacyjne, mimo że marginalne.

Za to daje się zauważyć, że młodzi internauci mają spore kłopoty z przyswajaniem treści poważniejszych, jeżeli transmitowanych przez sieć. W Polsce jest to prawidłowość dostrzegana częściej aniżeli w innych krajach. Poza tym szacuje się, że ponad 20% naszych uczniów jest z komunikacji digitalnej całkowicie wykluczonych. Tak więc wczesne wkraczanie w komunikację internetową wcale nie oznacza automatycznie wyższych kompetencji odbiorczych, natomiast – ostrzegają autorzy – może sprzyjać nadmiernemu uzależnieniu od sieci.

Drugi segment tego tekstu traktuje o przebiegu neuronalnych procesów podczas odbioru treści w trybie cyfrowym. Które kształtują się inaczej niż w trakcie czytania materiałów drukowanych. Kiedy zasygnalizowałem to kilka lat temu, opierając się na zagranicznych analizach, zostałem nazwany idiotą. Wygląda więc na to, że teraz takich „idiotów” przybyło.

Autorzy zwracają uwagę, że w przejmowaniu treści z sieci zachodzi **równocześnie** rozkodowanie, wydobywanie oraz przyswajanie, a więc w pośpiechu, niestarannie i nietrwale. Odbiór jest szybki, powierzchowny i wyjałowiony z koncentracji, ponieważ z charakteru – wielozadaniowy. W rezultacie nie ma czasu ani możliwości na skupienie się na czymś jednym i na pogłębioną refleksję, wobec tego zaś zapamiętanie przejętych w ten sposób treści jest szczątkowe i krótkotrwałe. Im bardziej złożona struktura komunikatu przejętego z sieci, tym odbiór gorszy i silniej uproszczony.

Takiej konkluzji w tym tekście nie ma, ale narzuca się wyrażnie. Otóż Internet sprawdza się świetnie w transmisji informacji prostych, szczególnie faktograficznych. Natomiast dla pogłębienia i przemyślenia przeżyć, oraz dla kreatywnej internalizacji, potrzebna jest inna forma przekazu, najlepiej pisemna. Ewentualnie jako współwystępująca.

Równie ciekawe są rozważania socjologiczne na ten sam temat **Krystyny Szafraniec** (prof. dr hab. w UMK w Toruniu) zatytułowane *Młodzież i nowe media: socjalizacja pod własnym nadzorem*. Z drobnym zastrzeżeniem

technicznym: zamieszczone tam wykresy są nieczytelne i w dodatku fatalnie opisane.

Nazywając Internet wielką agorą, ale także ogromnym śmietnikiem, liczebność internautów na świecie szacuje autorka na ponad 3 mld. Osobiście znam liczby większe oraz mniejsze. W Polsce internauci stanowią, jej zdaniem, 87% młodzieży – to akurat nie zgadza się z sugestiami w poprzednim tekście, więc redaktorzy znowu przysnęli – a średni wymiar czasu klikania to 20 godzin tygodniowo, zatem niezbyt dużo. Poza tym widać, że im niższy poziom wieku, tym rola Internetu większa.

Nabywanie kompetencji 81% młodych internautów kojarzy ze szkołą, ale umiejętności odbiorcze naszych młodych internautów są w ogóle oceniane nisko. Bo też i metody uczenia są przestarzałe. Szafraniec sugeruje, że edukować trzeba inaczej: przez **uczestnictwo** edukowanych w procesach, z **doradczym** tylko wsparciem nauczycieli, których jednak trzeba do takiej roli dopiero przysposobić. A także (to już oczywistość) stworzyć odpowiednie i łatwo dostępne zaplecze, zarówno w szkole, jak i w innych miejscach.

Natomiast tak samo jak poprzednik, autorka z dużym niepokojem wylicza istotne ograniczenia poznawcze wprowadzane przez Internet. Który mocno preferuje obrazy, tymczasem ich odbiór jest niskorefleksyjny, a rozumienie treści mizerne, często byle jakie. Mozaikowy zaś charakter przekazów sieciowych tylko umiejscawia treści, natomiast zapamiętywanie i wykorzystanie już z natury bywa marne – radykalnie gorsze aniżeli z komunikatów zbudowanych linearnie. Na dodatek ubiorniająco, a nawet ogłupiająco, działają wyszukiwarki.

Zdaniem prof. Szafraniec pożytkowanie technologii cyfrowej w żadnym stopniu nie poprawia wyników edukacji. Jeżeli zestawia się to stwierdzenie oraz podobną opinię Piotra Francuza z aktualnie dominującymi tendencjami, to widać poważne powody do zmartwienia.

Na czym powinna polegać odbiorcza sprawność medialna, próbuje wyjaśnić **Agnieszka Ogonowska** (prof. dr hab. na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie) w opracowaniu *Kompetencje medialne* – niestety bardzo chaotycznym i przeładowanym mało istotnymi szczegółami. Zdaniem autorki przysposobienie medialne trzeba realizować w ramach autonomicznego przedmiotu szkolnego. I zupełnie nie wiem, co to za postulat, ponieważ tak przecież jest i wspomina o tym kilku innych autorów, zatem powtórzę pytanie: co robili redaktorzy? Zalecana jest realizacja zajęć poprzez **uczestnictwo**, z jasno wytyczonymi celami (tu: deklaratywnie) o charakterze ogólnoinformacyjnym (w istocie: ogólnopoznawczym), a nie tylko techniczno-cyfrowym. Do tego zaś trzeba odpowiednio wcześniej przysposobić nauczycieli.

Niektóre, też na ogół deklaratywne, powierzchowne, sformułowania w tym tekście powtarzają się i w innych wypowiedziach, ale to jest pierwotny grzech wszystkich monografii wieloautorskich, kiedy redaktorzy nie wykonują swojej roboty. Autorka pisze o dialogowym charakterze komunikacji internetowej – co jednak przecież wyłączną regułą nie jest – oraz o pośrednich tylko, mało efektywnych relacjach sieciowo-społecznościowych, a także o braku stabilności w tej formie komunikowania. Z kolei zawarty tam sygnał konwergencji rozmaitych mediów uważam za przedwczesny. Na razie są jedynie takie próby i niczego w tym zakresie przesądzać nie można.

Z tymi opiniami niekoniecznie współbrzmie – ewentualnie częściowo – kompetentny głos **Krzysztofa Biedrzyckiego** (dr hab. z UJ), z tym że tytuł wypowiedzi jest tak absurdalnie długi, że go tu nie przytoczę. To jakiś nonsens: mamy w końcu XXI wiek a nie XIV. W treści natomiast jest mowa o aktualnym systemie edukacji medialnej w Polsce, ze szczegółowym opisem i oceną, jak też z konkretnymi postulatami zmian. Bo poziom tej edukacji oraz efektywność nie są wygórowane.

Autor starannie referuje treści programowe mediokierunkowego nauczania w szkole podstawowej, o nazwie *Zajęcia komputerowe*, oraz w szkołach ponadpodstawowych, pod nazwą *Informatyka* – co w wypowiedzi prof. Ogonowskiej tak jakby nie zaistniało. Tym razem opinia jest bardzo konkretna, a ocena umiarkowana.

Z kolei wyniki tej edukacji próbuje zreferować **Kamil Sijko** w marnie napisanym sprawozdaniu *Kompetencje cyfrowe gimnazjalistów w świetle badań ICILS 2013*. Oprócz kiepskiej czytelności tekstu i niedookreślonej wiarygodności badań raz zaskakująca opinia o dobrym przygotowaniu polskiej młodzieży do odbioru Internetu – pozbawiona wyjaśnień. No bo w innych wypowiedziach, również zamieszczonych w tym tomie, sygnaliły się diametralnie odmienne. Zatem: komu wierzyć? No i oto kolejny dowód redaktorskiej niefrasobliwości.

Za to bardzo ciekawa jest wypowiedź **Pawła Kubickiego** (dr w SGH) oraz **Dominika Batorskiego** (dr na UW), zatytułowana *Kompetencje medialne osób w wieku 50+. Bariery i rekomendacje*, sformułowana ze znanstwem i produktywnie, a bez mitologii, przylepionej do tego obszaru wiedzy. Bardzo rzadko trafiają się na temat relacji starszych osób i mediów opinie równie kompetentne.

W ślad za innymi doniesieniami autorzy sygnalizują starzenie się społeczeństw, co zapowiada z czasem radykalny wzrost znaczenia komunikacji cyfrowej także dla pokoleń najstarszych. Na razie jednak sytuacja jest żałkowska. W Polsce tylko 18,7% osób w wieku 50+ traktuje Internet jako ważne narzędzie komunikacji, zaś typowy starszy internauta spędza przy monitorze 10,5 godziny tygodniowo. No więc to są wskaźniki mizerne.

Istotne znaczenie ma ograniczony dostęp do sieci, a jeszcze bardziej: niski poziom kompetencji medialnych. Poza tym osoby starsze źle tolerują zmiany, a te komputerowa technologia wciska lawinowo, z powodów komercyjnych. Wdrożenie osób starszych do używania Internetu wymaga stosownego przygotowania, możliwie zanim staną się starszymi, a jeśli nie wcześniej, to poprzez stosowną ofertę edukacji kursowej, ze specjalnie opracowanymi programami.

Autorzy są zdania, że dla **takiej** publiczności potrzebne są zajęcia możliwie zindywidualizowane, realizowane koniecznie bezpośrednio (więc nie zdalnie), w miejscach znanych i przyjaznych. A prowadzić je powinny osoby znajome kursantom, umiejące porozumieć się z nimi, doświadczone w edukacji dorosłych oraz cierpliwe. Zaś po takim wstępnym wdrożeniu konieczna jest praktyczna kontynuacja korzystania z sieci, inaczej bowiem umiejętności przepadną. Autorzy tego nie napisali, ale z tej charakterystyki widać, że odpowiednio przygotowana biblioteka publiczna (ewentualnie inna) może być dla takiego przysposobienia medialnego miejscem prawie idealnym.

Pozostałe teksty są niezbyt interesujące, a niektóre trafiły do tego tomu już to przez nieporozumienie albo z grzeczności. Są w najlepszym wypadku nijakie i nieciekawe, przeważnie marnie napisane i albo powtarzają stereotypy, albo serwują niewiele mówiące przykłady detaliczne. W tej charakterystyce mieści się również opowieść o bibliotekach publicznych, utkana z kilku informacji statystycznych oraz z mnóstwa przykładów detalicznych, natomiast bez uogólniającej syntezy. Dla osób spoza bibliotekarskiego zawodu jest prawie nieczytelna. Szkoda, bo można było skorzystać z okazji szerszej prezentacji **interesującego** wizerunku współczesnego bibliotekarstwa w Polsce, ale – moim zdaniem – to się nie udało.

